

Kalaszowie. Sąsiedzi talibów



Piotr Balcerowicz 2009-12-05, ostatnia aktualizacja 2009-12-05 14:20:07.0

Jedziemy przez dolinę Swat, oddaną we władanie talibom, i wieziemy komputery Kalaszom

Nasz furgon gwałtownie hamuje przy odgłosie uderzeń drewnianej pałki o blachę maski. Wąsaty policjant szarpie drzwi i siada w sfoferce obok mnie, tuż za przerażonym kierowcą.

Co tam ukrywacie?! Odsłaniać plandekę! - krzyczy.

- Wieziemy komputery - odpowiadam spokojnie.

- Gdzie ukradliście?!

Wali Khan siedzący przede mną wyjaśnia:

- Kupiliśmy. Tu są wszystkie rachunki.

Policjant przekazuje mi je z poleceniem: Czytaj!

Nie umie czytać!

- Te rachunki są sfałszowane. Dalej z kradzionym towarem nie pojedziecie. Zdeponujecie towar na komisariacie. Jesteście aresztowani.

Zawiesza głos: No, chyba że macie inną propozycję...

Rozmowa odbywa się w urdu, a policjant bierze mnie z początku za Pasztuna - z brodą, ubranego w salwar-kamiz, w białej czapeczce topi zakładanej zwyczajowo do modlitwy. Zawsze też siedzę na drugim siedzeniu za kierowcą i nie opuszczam samochodu. Jedziemy we czterech: kierowca Amdżad i jego zmiennik Habib z sąsiedniej doliny, Wali Khan - nauczyciel z plemienia Kalaszów, dla których wieziemy komputery i baterie słoneczne - oraz ja.

Podaję paszport policjantowi i wyjaśniam:

- To są moje komputery. Wiozę je w darze dla szkoły.

Policjant nie daje za wygraną: - Jakiej szkoły? A gdzie pozwolenie?

- Pozwolenie na co? - dopytuję.

- Żeby móc podarować te komputery! Na wszystko musi być pozwolenie. Nie ma? No to musicie zostawić komputery w komisariacie do czasu uzyskania pozwolenia... A pozwolenie kosztuje... Sami rozumiecie, prawda?

Wali Khan blefuje: - On pracuje w ambasadzie, jedziemy z oficjalną wizytą.

Ja zaś pytam policjanta o nazwisko. W końcu daje za wygraną i puszcza nas bez bakszyszu.

Ruszamy. Ale dwadzieścia parę kilometrów dalej - na trasie prowadzącej z Peszawaru przez dolinę Swat i Dir - sytuacja się powtórzy i będzie tak się powtarzać kilkanaście razy przez najbliższe dwa dni.

Nie uda nam się przejechać w jeden dzień, jak planowaliśmy.

Z policjantami jest jeszcze drugi problem: nigdy nie wiadomo, który z nich współpracuje z talibami. Jeszcze niedawno na tej drodze strzelano do pojazdów bez ostrzeżenia. Teraz uchodźcy mogą według zapewnień rządu bezpiecznie wracać do domów. Mimo to ruch jest niewielki - i mało kto ryzykuje tędy przejazd. Drogę nadzoruje armia, ale niektóre odcinki na trasie są nadal okresowo kontrolowane przez talibów.

Czasem zatrzymują nas żołnierze z odbezpieczonymi, gotowymi do strzału karabinami.

Mijamy świeże zgliszcza

Samochód gwałtownie hamuje. Szklano-metalowy panel słoneczny (da potem komputerom prąd), lekko przymocowany na wierzchu komputerów, z impetem zsuwa się prosto na głowę Wali Khana. Trzeba będzie lepiej zawiązać linki mocujące. Żołnierz zagląda do środka, sam otwiera tylne drzwi, zerka pod plandekę, ale nie interesuje się pochodzeniem ładunku. Zadaje przenikliwie w swojej mądrości pytanie:

- Przewozicie broń albo materiały wybuchowe?

- Nie - odpowiadamy.

Czasem nawet taka wartka wymiana myśli jest zbędna - ustawiona przy drodze wielka biała bramka skanuje zawartość samochodu.

Już dawno minęliśmy ostatnie przydrożne obozy dla uchodźców, położone na północ od Peszawaru. Do tych, które widziałem rok temu, doszło wiele nowych. W zeszłym roku uchodźców było niespełna 300 tysięcy, w tym roku przed walkami uciekły 2 miliony mieszkańców z dolin Swat i Dir.

Żywność dostają w punktach znajdujących się przy drodze. Organizacji zagranicznych niosących pomoc - pomimo wielokrotnie ponawianych apelów rządu pakistańskiego do świata - zupełnie tu nie widać.

40 kilometrów za Peszawarem ciąg obozów się kończy. Te tereny jeszcze dwa tygodnie temu całkowicie kontrolowali talibowie. Teraz zostali wyparci przez armię, choć regularnie powracają.

Zbliżamy się do wsi Czakdara. Z daleka czujemy swąd spalenizny. Za chwilę mijamy świeże zgłiszczą spalonych domostw i wielki lej tuż przy drodze.

Amdżad, kierowca, który na tej trasie przewozi w swojej furgonetce pasażerów, wyjaśnia:

- Tu była stacja benzynowa - punkt zaopatrzenia dla talibów.
- Talibowie przynajmniej płacili za benzynę. A wraz z przybyciem armii właścicielowi nie zostało nic - dorzuca Habib.

Drogę zagradza osmolona i pognieciona blacha falista - to resztki dachu zmiecione go podmuchem wybuchu. Zniszczonych wiosek mijamy jeszcze kilka.

Nie zawsze miejscowa ludność jest szczęśliwa z powrotu pakistańskiego wojska i policji. Codziennie znajduje się tu zwłoki cywilów, czasem po dwadzieścia kilka ciał. Nie wszyscy giną z rąk talibów - oskarżani o współpracę z władzami pakistańskimi czy szerezenie wartości nieislamskich. Niektórych zabijają tajne oddziały pakistańskiej armii, która w ten sposób eliminuje podejrzanych o udzielanie talibom schronienia. Oficjalnie rząd Pakistanu temu zaprzecza, ale tu, na miejscu, wszyscy wiedzą, jak się sprawy mają naprawdę.

Ostatecznie rząd Pakistanu oddał dolinę Swat we władanie talibom, którzy zaprowadzili nowy ład koraniczny, znieśli administrację państwową, ustanowili sądy koraniczne, a zlikwidowali państwowe. Talibowie zamknęli też niemal wszystkie 350 szkół, do których uczęszczały dziewczęta, a spalili niemal dwieście. W zamian obiecali zakończyć swoje operacje militarne i ekspansję na inne doliny. Jednak dwa tygodnie po porozumieniu z rządem, 8 kwietnia, talibowie wkroczyli do sąsiedniej doliny, łamiąc tym samym warunki rozejmu. Walki między nimi a pakistańską armią nie ustały do dziś.

Z talibami było bezpieczniej

Zmierzcha. Amdżad zwalnia i mówi przez ramię: - Do końca doliny Dir jeszcze daleko. Nocą jest tu niebezpiecznie, bo ciągle krążą talibowie, a wojsko nie kontroluje drogi. Mogą też strzelać, gdy nie widzą, kto jedzie. Niedaleko mieszka mój brat. Bez problemu możemy się tam zatrzymać.

"Brat" to znaczy po prostu dobry znajomy. Przystajemy na propozycję. Zjeżdżamy z głównej drogi i po kilometryr bezdroży prowadzących w kierunku wsi Khongi dojeżdżamy do domostwa otoczonego wysokim glinianym murem. Rozprostowuję nogi po raz pierwszy od dziesięciu godzin.

Karim, nasz gospodarz, wita nas serdecznie. Przyjmuje naszą wizytę jako oczywistość i nie zadaje niepotrzebnych pytań. Gdy się już usadowimy na dywanie, częstuje nas zieloną herbatą i migdałami w cukrze.

- Karim, cieszysz się, że talibów tu już nie ma? - pytam.
- I tak, i nie. Gdy byli talibowie, było bezpieczniej. Przynajmniej do czasu, zanim armia nie rozpoczęła tutaj ostrzału.
- Dlaczego bezpieczniej?
- Talibowie szybko rozprawiali się z przestępcami. Ich sądy działały.
- To sądy państwowe nie działały?
- Ależ skąd! Kilka lat temu brat tutejszego nazima (zarządca okręgu) zajął kilka akrów ziemi mojego sąsiada, twierdząc, że ten zajmuje tę ziemię bezprawnie. Sąsiad poszedł do sądu z dokumentem własności, ale na niewiele się to zdało, bo sędzia jest przyjacielem nazima. Pod pretekstem próby oszukania władzy wsadzili go na kilka miesięcy do aresztu. Bez wyroku sądu, rzecz jasna. Teraz w marcu sprawa się zakończyła. Sąd talibów sprawę rozpatrzył w jedno popołudnie: ziemia wróciła do sąsiada, a tamtego spotkała kara.
- Przy talibach policjanci bali się żądać bakszyszu - włącza się Habib.
- Chcecie przez to powiedzieć, że lepiej by było, gdyby talibowie zostali? - dopytuję.
- Nie. Teraz nie ma tutaj żadnej szkoły. Gdzie mają się moje dzieci uczyć? A słyszałeś o tej historii w Kala Kalai? To niedaleko stąd. Wezwano elektryka, żeby coś tam naprawił. W domu były same kobiety, a sąsiedzi donieśli talibom, że między córką Czand Bibi a elektrykiem do czegoś doszło. Talibowie wywekli ich z domu, oboje publicznie wychłotali, a następnie zmusili do ślubu. Potem Muslim Khan, rzecznik talibów, powiedział przez radio, że dziewczyna i tak miała szczęście, bo powinna zostać ukamienowana. To nie jest nasza tradycja!

Teraz z pakistańską armią powraca rządowa administracja. Ale dla mieszkańców Swatu i Diru to tylko mniejsze zło. Bo powraca wszechobecna korupcja, opieszałość administracji i wszechwładza policjantów, którzy wykorzystują każdą okazję, aby wymusić łapówki. Wieśniacy znów nie mogą dochodzić swoich praw, gdy urzędnicy państwowi zagarniają bezprawnie ich ziemię, policja na wszystko przyszyka oko.

Krótki okres władzy talibów zawiesił drakońskie prawo, jeszcze z czasów brytyjskiej okupacji, które pozwalało policji przetrzymywać ludzi w areszcie przez trzy lata bez wyroku sądowego, a administracji prawo konfiskaty lub zniszczenia majątku osób bez wyroku sądowego, jedynie na mocy urzędowej decyzji. Wraz z armią powróciły te prawa.

Muħa FM

Rano ruszamy dalej, kierując się w stronę Diru. Gdy wjeżdżamy na wzniesienie, Amdżad kręci gałką radia. Sygnał dość słaby, ale wystarczający.

- To "muħa FM" - uśmiecha się Amdżad.
- Jak to "muħa FM"?
- Tak nazywamy radio talibów. Jest tego całkiem sporo. I tak nie ma czego tu słuchać, więc czasem słuchamy tego. Przynajmniej można się czegoś ciekawego dowiedzieć. Trochę mówią o religii, trochę o życiu, trochę o świecie.

Państwowe radio i telewizja są w odległych dolinach niedostępne, brak źródeł informacji i rozrywki, więc lokalne

odpowiedniki Radia Maryja wypełniają tę lukę. Nikt nie wie dokładnie, ile funkcjonuje takich nielegalnych przenośnych nadajników. Armia usiłuje walczyć z "mułkami FM", instalując urządzenia zakłócające, ale w górzystym terenie ich skuteczność jest ograniczona.

Jak informuje Pakistańska Agencja Nadzoru Mediów Elektronicznych (PEMRA), do tej pory udało się zamknąć 160 takich stacji nadawczych na terenach plemiennych graniczących z Afganistanem. Okazuje się, że wielu urzędników pakistańskiej administracji dorabia sobie, instalując je i oddając talibom. Koszt nadajnika waha się od 200 do 500 złotych.

W końcu, po niespełna dwóch dniach podróży, docieramy do przełęczy Lowari na wysokości 3118 metrów.

Tu kończy się władza talibów.

Zatrzymujemy się na postój. Uderza nas zimny podmuch świeżego, górskiego powietrza. Wali Khan, Amdżad i Habib wysiadają i oddychają z wyraźną ulgą:

- Już ciebie nie porwą.

Bynajmniej nie wyrażają w ten sposób troski o mnie. Wszyscy dobrze wiemy, że los schwytych przez talibów na współpracy z obcymi jest ten sam: strzał w głowę.

Wiem o tym nazbyt dobrze. W ciągu ostatnich dwóch lat straciło w ten sposób życie moich dwóch kolegów, z którymi razem budowaliśmy szkoły w Afganistanie. Wali Khan zaciera z radością ręce: - No to już tylko jakieś sześć-siedem godzin i jesteśmy w domu.

Późnym wieczorem docieramy na koniec świata, do wioski Krakal na końcu doliny Mumuret. Do granicy afgańskiej jest tylko 7 kilometrów, ale tu nie dociera wojna z Afganistanu ani talibowie z dolin Swat i Dir.

"Iszpata baya!" (Witaj, bracie!) - z oddali słyszę głos żony Wali Khana.

"Iszpata baba!" (Witaj, siostrz!) "Pruszt thi ai e, baba?" (Jak się masz?).

"Pruszt, khodayas meharbani!" (Dobrze, dzięki Bogu). "Tabiat pruszt e?" (Jak twoje zdrowie?)

"Pruszt, khodayas meharbani, baba!" (Dobrze, dzięki Bogu, siostrz!). "Dura khajr e?" (Jak się miewa twoja rodzina?).

"Pruszt, pruszt, baya!" (Dobrze, dobrze, bracie...).

Wypakowujemy z furgonetki nowiutkie komputery. Są to pierwsze komputery, jakie tu trafiają. Zmęczeni siadamy na kamiennym ganku chaty Wali Khana, przyklejonej do stromego zbocza, i posilamy się "au", chlebem przypominającym naleśnik o półmetrowej średnicy, i "czhamani", świeżym kozim serem.

Ten zestaw pojawia się trzy razy dziennie, a urozmaiceniem bywa czasem "zau", chleb z domieszką zmielonych orzechów włoskich.

W ciemności nieprzyjemnie pełga na czerwono żarówka, czasem kompletnie gaśnie. Wieszam pod stropem latarkę.

- Wali, skąd macie prąd?

- Parę lat temu Fundacja Aga Khana zbudowała małą hydroelektrownię tam, w dole rzeki. Ale jak sam wiesz, prąd dociera tu na parę godzin, i nigdy więcej niż 50-80 V.

To dlatego przywieźliśmy z Peszawaru także baterie słoneczne razem z zasilaczem UPS, które w tych dolinach będą pierwszym źródłem normalnego prądu, niezbędnego dla naszego szkolnego centrum komputerowego.

W dużym stopniu to eksperyment.

O świcie, zanim Wali Khan rozpocznie lekcje w szkole, analizujemy, gdzie najlepiej ustawić panele słoneczne i jak pociągnąć kabel do wielkich baterii.

Muszą stać blisko paleniska, w jednym pomieszczeniu ogrzewanym także zimą. To wspólna sypialnia całej rodziny.

Wokół otwartego ognia, ponad którym prześwituje w dachu otwór - wylot na dym, ustawione są proste konstrukcje łóżek. Baterie przestają działać w niskich temperaturach, a my chcemy, aby dzieci także zimą mogły się uczyć obsługi komputerów.

Po południu idziemy z Wali Khanem dołem doliny wzdłuż rzeki do muzułmańskiej Ajun, osady odległej o kilkanaście kilometrów, żeby umówić się z elektrykiem i stolarzem, którzy założą okablowanie pod komputery i zmontują stoliki i ławki. W drodze tam ktoś nas podwiezie, ale wracać trzeba już pieszo.

I tam, na polach, otwiera się przed nami nowy rozdział podróży - poznajemy Kalaszów.